

Ucieczka cz.I

Znowu znalazłem się w policyjnej suce. Konwój podążał nie wiem gdzie. Jechaliśmy trochę już. Wyczuwałem tylko zakręty, przechyły w jedną i drugą stronę, chwilowe postoje. Wreszcie samochód zatrzymał się, trzasnęły drzwi. Przez dłuższą chwilę był Acisza, żadnych odgłosów. Usłyszałem, jak coś metalowego i ciężkiego zgrzytnęło z hukiem. Przekroczyłem bramę więzienia. Po chwili tylne drzwi otworzyły się, ujrzałem kilku uzbrojonych funkcjonariuszy więzienia i konwojujących policjantów.

- O ptaszek się złapał! - ktoś powiedział.

Skuli mi ręce do tyłu. Zaprowadzili do pomieszczenia, gdzie nie było nic, nawet krzesła. Pusty pokój, u góry zablendowane i zakratowane okno. Po czynnościach formalnych, z mandżurem na plecach, w asyście dwóch klawiszy poszedłem na oddział.

- Macie jeszcze jednego - oddziałowy lekko pchnął do środka.

Cela była mała, stały dwa łóżka piętrowe, stół i taborety. W środku był już jeden. Postawiłem majdan na taborku i zapytałem:

- Grypsuje ktoś tutaj?

- Ja i Witek też. To jest nas trzech.

- A gdzie trzeci? - zapytałem.

- Pracuje w kotłowni. Mam na imię Rysiek. Zajmij kojo, te dwa są wolne.

Posłałem i zacząłem rozmyślać. Może to kapucha? zwykle świeżaków dają na przejściówkę. Tuż przed kolacją przyszedł Witek. Tego dnia nie pytałem już o nic. Położyłem się na pryczy, nawet nie wiem kiedy walnąłem w kimę.

Następnego dnia okazało się, że moi wspólni lokatorzy to szwajcarzy. Rysiek pracował w bibliotece. Obaj mieli duże pajdy i czekali na transport. Powiedziałem im, że dałem nogę z Raciborza i po dwóch latach wpadłem.

- Toś ty „Falkon``. Głośno było wszędzie o tobie. Opowiedz o tym.

- Nie ma o czym. Było minęło. Głupio wpadłem i tyle. Trzeba pomyśleć, jak dać drapaka stąd.

Nie chcieli podjąć tematu. Dni upływały, jak kołowrotek, ciągle to samo. Oni szli do arbajtu, ja kręciłem się po celi i na wybiegu godzinę. Wiedziałem, że długo tu nie zostanę. Będą wozić mnie po całym kraju i przybijać rzeczy, których nie zrobiłem. Poprawią statystykę. To jest stare więzienie, stąd jeszcze można. Trudniej z Wroniek czy z Wołowa.

Zostałem wezwany do wychowanka. Prowadzili po labiryntach pensjonatu. Mogłem zobaczyć co nieco. Stwierdziłem, że to mały stary kurnik. Wychowanek przeglądał jakieś akta, papierzyska. Przesunął okulary na czubek nosa i spojrzał na mnie.

- No Falkon, złapałeś się.

- Ano - rzekłem.

Poprawił znów okulary, pisał coś. Po chwili zamknął teczkę.

- Resocjalizować cię nie będę, bo co miało wyrosnąć, już wyrosło. Ale powiedz mi jedno: czy ktoś pomagał ci z zewnątrz? Już teraz możesz powiedzieć.

- Panie poruczniku, może kiedyś opiszę w pamiętnikach.

- A tak.. będziesz miał na to czas.

oddziałowy cały czas stał z boku.

- Odprowadzić - rozkazał.

Pewnie w swym raporcie opisze moją osobowość, użyje przy tym fachowych psychologicznych określeń.

Następnego dnia zapisałem się do lekarza, chociaż nie byłem chory. Chciałem obejrzeć kąty.

Wieczorem dowiedziałem się, że to klasztor przykościelny. Przylegał do kościoła bezpośrednio. Tuż po wojnie komuniści zabrali zrobili więzienie. Tak zostało. Nasza cela jest po przeciwnej stronie, ale ci co sąsiadują z kościołem słyszą mszalne organy.

Rysiek z biblioteki skołował herbaciore. Wieczorem Witek zarzucił antenkę i zaparzyliśmy czaju siekierę. Odkręca się żarówkę i podłącza pod przewód prądowy do koja. Później buzałkę do koja i np: grzejnika. Buzałkę robi się: pomiędzy blaszki wsadza się zapaliki owinięte nićmi, żeby była przerwa.

Nagle oniemiałem z wrażenia. Buzałka zrobiona była z dwóch kawałków brzeszczota. -- Skąd to macie? -

zapytałem.

- Witak przyniósł z kotłowni.

- A w ogóle chcieliśmy ci powiedzieć, jeżeli byłaby szansa ucieczki, to my się zgadzamy - powiedzieli obaj niemal jednocześnie.

Na razie to rekwiruję buzałkę. Zrobicie z blaszek albo z mojek.

- A Ty przekopiesz kotłownię, może będzie jeszcze jeden.

- Słuchajcie, jeśli to podpucha to wiecie, że do końca wyroków gryps za wami pójdzie.

- Ty, coś ty - zaczęli stękać.

- Na dzisiaj spokój, wypijemy po garnuchu, noc jest przed wami do namysłu. Jutro ostatecznie dacie mi odpowiedź.

Zapaliłem szluga. Oko się zaszklilo. Jest szansa jak cholera. Mam nad czym myśleć.

Koniec części pierwszej.

Ucieczka cz. II

Kłębowisko myśli całą noc wirowało. Różne scenariusze następowały po sobie. Obudziłem się do niczego. Zostało trochę rudego czaju, zrobiłem parę haustów, doszedłem w miarę do siebie.

Obaj wyrazili zgodę i zapewniali, że na życie i amen. Rysiek poszedł do biblioteki, Witak miał drugą zmianę. W zimie na noc do kotłowni przychodził ktoś z zewnątrz, ogrzewany był kościół. Skazani pomagali w dzień. Teraz tylko na potrzeby zakładu.

Okazało się, że kotłowni widać z naszego lipa na pierwszym piętrze. Przystawiliśmy stół, zobaczyłem kawałek komina i dachu. Wziąłem zeszyt i z Witkiem szkicowaliśmy w kąciiku sanitarnym sytuację na zewnątrz. W razie gdyby kłapa się otworzyła, to wszystko do bardachy. Kotłownia stała po przeciwnej stronie wieżyczki. Pytałem o szczegóły, odległości. Już miałem gotowy plan.

Bez tych rzeczy nie ma sensu cokolwiek podejmować. Musisz przetrząsnąć kotłownię. Przydałby się jesz-

cze jeden brzeszczot, te dwie połówki mogą nie wystarczyć. Sprawdź, czy ten daszek przy kominie jest wyższy od ogrodzenia pasa śmierci. Najważniejsza rzecz, długa deska, żeby starczyła od daszka przy kominie na mur i 10 m drutu lub grubego sznurka.

Jeszcze jakieś szczypce, cęgi, żeby ukreć siatkę za kratą. Brzeszczotem nie można, bo będzie skrzypieć. Ukreć jeden drut, reszta się zsunie (siatka jest po to, żeby nie targać chabety między piętrami). To wszystko sprawdź, jak pójdziesz.

Kiedy przyszedł Rysiek, przedstawiłem rozmowę z Witkiem i szkic planu, był zadowolony. Mieszkał kilkanaście km stąd. Chodził do szkoły w tym mieście. W pralni miał ziomka. Nawiń jemu, że mieliśmy kispisz i wygruzili nam wszystko, musimy czajure parzyć na knotach. Potrzebne będą dodatkowe w miarę niesprane prześcieradła. Jutro jest łaźnia.

- Wiesz, w niedzielę mam widzenie z bratem. Dwie ulice stąd mam kumpla, może by u niego zostawił ciuchy.

- Świetna myśl - przytaknałem. - Dobrze, że to środek września.

Po apelu wystawia się ubrania i buty na korytarz, można mieć tylko swetry bo jest zimno, mury mają do jednego metra. Biedni ojczulkowie mieli nie lepiej niż my. To miejsce jest wymodlone. Powinno się pofarcić.

- Jesteście tutaj trochę, znacie zwyczajnie klawiszy. Na czyjej zmianie byłoby najlepiej?

- Myślę, że kiedy jest Czerwony Pies. Wiesz, ten czerwoniak.

- Kilifaktor nawijał kiedyś, jak sprzątał u niego kantorek, to na stoliku leżały wampy i inne kolorowe tego typu czasopisma.

- Popatrz, powiedział, co mają pod celami. Zabrałem. Szybko schował do szuflady i zamknął.

Popękały mu naczynia krwionośne z podniecenia. Był to opasły potężny facet o krwistej czerwonej twarzy, jak zachodząca tarcza słońca, za ładnie to powiedziane. zapala światło raz z wieczora.

Przyszedł Witek z dobrymi wieściami. Za kotłownią był boks na popiół i szlakę. Ogrodzony deskami, umocowane luźno w ceownikach, dość grube, na pół palca, ok. 5 cm. Na długość wystarczy, jeszcze będzie wystawać.

Niedawno byli remontowcy, owijali nową izolacją rury, mieliśmy trzy dni wolne. Zostawili spory kłębu-

szek drutu wiązalkowego i kombinerki, schowałem. Zaczął rozsznurowywać buty i wyjął brzeszczot, ale taki dziwny, jeszcze takiego nie widziałem, był pewnie stary, z drobnymi ząbkami. Spojrzeliśmy na siebie.

- Wiesz Witia, że wszystko będzie na ciebie. Ty byłeś inicjatorem, tak pomyślą.

Plan jest taki: kiedy Czerwony Pies będzie miał nockę, po zgaszeniu światła ja kręcę linę z prześcieradeł. Wołam tylko jednego do mocnego zaciśnięcia supła na chwilę. Wyciągnąłem już dratwę z kocy, które są obrabione. Wy tniecie półmetrowe paski, by owinąć białe prześcieradła. Kładę się na koju. Czekamy aż zapali światło. Leżymy tak, żeby nas dokładnie widział.

Rysiek jest najmłodszy, ma dobry słuch, nasłuchuje przy klapie. My piłujemy. Oświetlony jest pas śmierci, przy budynku jest półmrok. Z wieżyczki, żeby coś zobaczyć, musi zaświecić jupiterem - szperaczem. Dostakujemy do kotłowni, koniec deski okręcamy drutem, po niej wchodzimy na składzik węgla.

Na dachu czołgamy się, mamy to przećwiczone, z naszego lipa daszek widać, wciągamy się wraz z deską.

Za kominem z wieżyczki nas nie widać. Stawiamy deskę w pionie. Rysiek trzyma na dole. My powoli opuszczamy. Mur nie jest wysoki. Nie podwyższyli. Może ma cztery metry.

Idziemy na czworakach, ja schodzę ostatni. Opuszczamy się na rękach. Skaczemy na palce, na ugiętych kolanach.

Akcja musi być szybka, jak zawody strażackie. Od teraz jest to nasz katechizm.

Następnego dnia zostałem sam w celi, żeby odbiec od przygotowań do zrywki, wziąłem książkę i zacząłem czytać. Nagle klapa otworzyła się i wpadł kierownik ochrony z dwoma gwiazdkowymi.

- O! Fakon nie nudzi się, czyta - z drwiną wyrzucił.

Podszedł, wziął książkę.

- O! Rainer Maria Rilke. Kobiety ładne wiersze piszą.

- Owszem - odparłem.

- Pewnie o miłości?

- Tak - stwierdziłem.

- O! Zamknąłem ci książkę - położył na stole.

Zajrzałem do spisu treści, odnalazłem wiersz „Zgaś moje oczy”. Otworzyłem.

Spojrzał na mnie tak, myślałem, że wyłapie piączę. Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Wreszcie przyszedł ten moment. Czerwony Pies ma nockę. Wszystko odbyło się wg planu. Byliśmy za murem. Ulica był pusta. Wbiegliśmy w bramę znanymi przejściami dla Ryśka, żeby tylko był w domu. Brat Ryśka zostawił po słowie, . Tu drogi nasze się rozstają, nawet z wami się nie napiję. Jest za dziesięć pierwsza, zaraz będzie autobus nocny. Jeszcze raz Rysiek mi wytłumaczył:

- Wsiądziesz za rondem, przystanek Firlej.

Stałem za drzewem i filuję na ciężarowy, ze światłami na szoferce u góry. Wreszcie machnąłem ręką.

- Dokąd pan jedzie?

- A gdzie chcemy?

- Jak najdalej - krzyknąłem.

- Do Trójmiasta. Dalej jest morze. To nie amfibia. Wsiadaj pan, będę mógł z kimś porozmawiać, przynajmniej nie zasnę.

Warkot silnika przeplatał się z rozmową. Światła goniły przerywaną linię życia, w gęstwinie mroku.

Po krótkim czasie byliśmy na ty. Kierowca Janusz i ja, imię zmyślone. Lokator kilku życiorysów, w każdym była cząstka mnie samego. Mimo woli kierowca Janusz stał się moim współnikiem. Zatrzymaliśmy się na stacji paliwowej. Zjedliśmy po kanapce, wypiliśmy gorącą herbatę z termosu, po prostu herbatnik.

Odcudziliśmy kartofelki, podróż przebiegała spokojnie, żadnych patroli. Pewnie zaskoczą dopiero przy pobudce. Zbliżaliśmy się do Gdańska. Podał mi swój nr tel. Muszę nauczyć się na pamięć i wyrzucić. Ja jemu też zmyślony.

Zaproponował powrót. Będzie czekał po południu w tym samym miejscu.

Chłopie, żebyś ty wiedział... Co odpowiedziałem, dziś nie pamiętam.

Zapytałem w kiosku, jak dostać się nad morze.

Morze było całe w wodzie. Cisza grzmiała w uszach. Musiałem przełknąć ślinę, jak przy zmianie ciśnienia. Chwilowy paraliż mięśni. Nie mogłem uwierzyć, że cała przestrzeń, należy do mnie, a roztrwonione lata to tylko abstrakcja. W zasięgu wzroku nie było nikogo, tylko świetliste plamy na zbitym piasku.

Po lewej stronie klif. Z małymi wydmami na dole, u góry lekko porośnięty.

Błękitna otchłań nieba bierze początek z horyzontu zdarzeń.

Ultramaryna i turkus kąpią obłoki w wodzie, powstaje piękna akwarela, płynie do mnie.

Lekka bryza ze spienioną falą, zmywa skutecznie minione ślady stóp, odkaża miazmatyczne powietrze.

Idę przed siebie nowym szlakiem, za mną nie ma nic.

Przede mną Wolność i Słońce.

Przeżyć do przedawnienia.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Pulsar, dodano 29.06.2018 17:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.